

Droga Lenuszka

Irenę Eichlerównę poznałam 38 lat temu. Przyjechała wtedy na gościnne występy do Wrocławia, żeby wystąpić w *Profejsi Pani Warren* w reżyserii Wilama Horzycy. Pamiętam kawiarnię „Teatralną”, grono kolegów rozgadanych przy stoliku i nagłą ciszę... Wszyscy patrzyli w kierunku drzwi. Po sali przeszedł szmer: „Eichlerówna, Eichlerówna...” Stała w progu kawiarni jakby szukała kogoś znajomego. Natychmiast podbiegł do Niej Artur Młodnicki i szarmancka podprowadził do naszego stolika. Usiadła – i nagle zobaczyłam jej lekko skośnie oczy wpatrzone we mnie. – „Pani naturalnie będzie grała Wiwiewę”. – powiedziała głosem nie uznającym sprzeciwu. Siedziałam wyprostowana z wypiekami na twarzy – „niestety nie mogę, jestem już obsadzona w innej sztuce” – bąknęłam. – „Ale pani muusi grać Wiwiewę, muusi pani! Aaa, już ja to zalatwię” – odsunęła krzesło i wyszła z kawiarni...

Wielką, wspaniałą Lena, a dla mnie kochana, droga Lenuszka. Najbliższa rodzina. Troskliwa, ciepła, opiekuńcza.

Kiedy potrzebowałam lekarstwa nieosiągalnego w kraju, Lena zdobywała je, przywoziła do teatru, stawiała przed lustrem w garderobie razem z czekoladą i kwiatkami. Przyjeżdżała tramwajem, chociaż na próby i spektakle odwoził Ją służbowy samochód. Miała wyjątkowo szeroki gest – jeżeli coś ofiarowywała, to zawsze w taki sposób, jakby to była błahostka, o której nie warto mówić.

Kiedy byłam młodą aktorką i grałam z Nią w *Skizie* Zapolskiej, dostąpiłam zaszczytu ubierania się z Nią w jednej garderobie. Naturalnie po spektaklu ciągnęły do Niej tłumy młodzieży po autograf. Lena zawsze podawała mi pióro i ogłaszała: – „Będzicie pan miał od nas przepiękną pamiątkę! Duduniu! Podpisz, oo tutaj, prooszę”. Robiła tak dlatego, że obawiała

się, iż mnie mogą nie poprosić o ten autograf. Tyle miała subtelności i tak nie chciała, żeby było mi przykro.

Często słyszałam o Jej stylu pracy, że trudna, apodyktyczna, że wtrąca się do wszystkiego – ale co poradzić, kiedy Ona zawsze miała rację. Była maksymalistką, chciała grać w dobrym przedstawieniu. Przede wszystkim zwracała uwagę na obsadę. Nie z każdym chciała grać, o nie! Następnie przygotowywała egzemplarz dramaturgicznie. Kręśliła, przedstawiała zdania, zmieniała słowa. Kiedy już wszystko zmieniła po swojemu, mówiła: – „No teeraz możemy graać!”. I rzeczywiście, tekst stawał się jasny, lapidarny, dowcipny, obfitujący w liczne puenty. Swojego egzemplarza broniła jak lwica, uważała, że właśnie w nim leży tajemnica sukcesu.

Bardzo nieufnie odnosiła się do scenografów. Musieli często kilkakrotnie przerabiać dekoracje, zmieniać meble, aż w końcu uzyskiwała tak zorganizowaną przestrzeń sceniczną i taki efekt, o jaki Jej chodziło. A kostiumy, Boże drogi! Nie lubiła miar, męczyły Ją i denerwowały. W sztukach współczesnych zawsze grała w swoich sukniach. Czula się w nich najswobodniej. Były przeważnie lepsze niż proponowane przez projektantów.

Przychodziła na próby zawsze przygotowana, znakomicie umiała tekst, nigdy nie zaskakiwała zmianą interpretacji, nigdy nie psuła partnerowi puenty, ale też wymagała tego samego od partnera: precyzji, umiejętności prowadzenia dialogu, nie wchodzenia na kwestię, poszanowania Jej konstrukcji roli. Jednym słowem profesjonalności. Jeżeli tego nie otrzymywała, dźbiała się strasznie rzeczy. Olbrzymią wagę przywiązywała do ukłonów. Musiała być zachowana hierarchia w zespole klanających się i duża różnorodność figur. Naturalnie kwiaty. Każdy spektakl musiał być świę-

tem. A w garderobie: perfumy, czekoladki, piękny peniuar, herbata w ślicznej filiżance.

Przyjeżdżała do teatru co najmniej na 2 godziny przed przedstawieniem. Chodziła po scenie, sprawdzała rekwizyty. Zbierała siły jak przed bitwą.

Lubiła czasem przynosić z domu nowe stroje do grania, wtedy wzywała mnie przez zaufaną garderobianą Celinę, żeby dokonać oceny. Czasem zdarzało się, że pani Celinka na własną rękę wpadała przez prazona do mojej garderoby wołając: – „Pani Duduniu, pani Duduniu, niech pani prędko idzie! Pani Eichler chce włożyć nocną koszulę jako balową suknię!” W antrakcie przychodziła do reszty zespołu częstując czekoladkami. Jeżeli ktoś się Jej naraził – nie dostawał czekoladki. Po prostu był ominięty.

Zawsze dzieliła się ze mną kwiatami. Nawet w mojej młodości natychmiast na scenie oddawała połowę bukietu. Była wielkoduszna i wierna w przyjaźni. Przez 38 lat nie było między nami najdrobniejszego nieporozumienia, jeżeli spotykała mnie choćby mała przykreść zaraz chciała dzwonić do ministra, nie można było nic powiedzieć, żeby natychmiast nie interweniowała. Była bardzo spontaniczna w uczuciach i szczerza. Prowadziłyśmy prawie codziennie długie rozmowy telefoniczne. W każdej z nich z drobiazgową dokładnością zdawała relację o każdym zdarzeniu, telefonic. Wiedziała, że mnie to interesuje i obchodzi i to Ją cieszyło. Żyła samotnie i lubiła samotność. Sens życia widziała tylko w pracy. Zawsze mówiła: – „Aktor, który nie gra – umiera”. Kiedy przestała grać, właśnie zaczął się Jej proces umierania, wielkiej rezygnacji.

Kiedy leżała już ciężko chora w szpitalu, przeczytałam skierowany do Niej list, napisany przez panią minister kultury i sztuki, list angażujący Ją – pierwszą Damę Sceny – na pierwszy etat przyszłego Teatru Narodowego. Niestety zaangażowała się do innego teatru – Teatru Cieni...

Zegnaj Lenuszko!

Małgorzata Lorentowicz